

Roman Chojnacki

NAMALUJ TO, ZOE, ZAPISZ, ZAŚPIEWAJ

Już tutaj jest, ta nieuchronność, która patrzy z góry, patrzy spokojnie na zmurszały most, na nas obu, na mnie, mój cień i mały, obity w karmazyn notes, na rzekę, której woda albo płynie i jest tęczowa o zachodzie, albo stoi i gnije, na ostatni spacer księżycy w miękkich filcowych pantoflach. Namaluj to, Zoe, namaluj tym co masz pod ręką, to może być lakier do paznokci lub piana z ust. I nie zapomnij o lesie, po którym spacerowaliśmy nie tak dawno, pełnym pokrzyw i ostów, niech służy ci jako sztaluga. Maluj odważnie, bez oporu i bez zastanowienia, opisz nam nasze życie, jak wielu przed tobą, którzy opisywali swoich winowajców. Nie pomiń niczego, najmniejszej okruszyny dobroci i choćby jednego łajdactwa, zaprzaństwa i krzywdy.

Albo może zapisz to, Zoe, zapisz w sobie tylko znanym języku; polubiliśmy go, jest taki ludzki, pełen nas i tego, w co wierzyliśmy, dla którego zamykano nam usta i nasze rodziny po drugiej stronie krat, bo, jak i my, wierzysz mocno w ten kraj wierny i wierzący, że jest sprawiedliwy wśród narodów świata, a nie jest i że jest wybaczący jak Prymas Tysiąclecia, a nie jest. Nie wstydź się, mów pełnym głosem: jeśli tolerujesz – nie odwracaj głowy, kochasz szczerą – mów jak jest, wierzysz w dobro – mów prawdę. Bo już blisko, naprawdę, bardzo blisko, jest ten subtelny koniec, w locie bociana i wilgi i odwróconych plecami czterech porach roku. I blisko jest ulica, plwociny na chodnikach, powtarzany echem świst gumowej pałki i już na zawsze zbłąkanej kuli.

A jeszcze lepiej, Zoe, zaśpiewaj tym swoim czułym głosem. Nie zapomniałem go, umiałaś nim otwierać wszystkie bramy podejrzanych domów, puste kieszenie przechodniów, zatrzaśnięte ołowianymi łzami oczy i moją absurdalnie zaciśniętą pięść. Twoja była taka mała i pocila się trochę; byliśmy młodzi i chyba tak miało być. Teraz zaśpiewaj mi, Zoe, kim jeszcze w tym życiu mam być, bo łachudrą i kochankiem już byłem. Także pijanicą i trzeźwym kibicem bożych porachunków. Sięgnij po tę nutę w swoim głosie, która jeszcze da mi nadzieję, dawny smak porannej kawy. I nie pozwól mi zasnąć, gdy stojąc na granicy siebie, na tym moście, próbuję uparcie wydobyć z gardła jeszcze kilka słów podziwu nad twoimi talentami.

MIŁOSIERNY I DWA ŻURAWIE

Wszystko? Chyba jeszcze nie, moje ty nieciekawe życie,
moja ty niespisana do końca miłości, chyba jeszcze nie wszystko.

Spacer wczesnym rankiem, skrajem brzeziny. Spod unoszącej się
pod ciężarem słońca mgły dopada mnie mdły, słodki zapach gnijącego ciała.

To żuraw; leży z rozchylonymi ramionami i odchyloną głową,
a tuż obok stoi drugi: brat? siostra? żona? matka czy ojciec?
zastygł w bezruchu, z oczu płyną łzy, czy kropelki rosy? Patrzy na mnie
bez lęku, pełen chyba ciekawości.

Klękam, gołymi garściami kopię ziemię pod martwym ptakiem,
coraz głębiej, szybciej, szeroki dół; mieszczę się w nim cały...

Gdy odrzucam ostatnie grudy, ziemia nad nami zapada się;
tuż przed utratą zmysłów wiem, że strażnik naturalnego porządku
z podniesioną głową usiadł na naszym grobie.

Do dziś czuję żal, bo nie wiem czy stąpał po nas dumny? smutny? spokojny?
I czy docenił miłosierdzie.